



## PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie:  
rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35,  
Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powzecznej w 8-miu tomach  
rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: rs. 2 kop. 35.  
Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:  
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi  
rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca HIPOLIT ORGELBRAND.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego  
kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart.  
talnie florenów 5 cent. 5.

W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł taniach pożytecznych, kwartalnie  
flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.

W W. Ka. Poznańskim: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½,  
wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

### WINCENTY POL.

Pod samym Lublinem, tuż za rogatkami Zamojskimi, znajduje się niepokazny folwark, pół miejski a pół wiejski, Firlejowszczyzna, jak samo nazwisko wskazuje, odłamek możnowładczej niegdys fortuny Firlejów. Tam w dniu 20 Kwietnia 1807 roku przyszedł na świat Wincenty Ferraryusz Jakób Pol, syn Franciszka-Ksawerego urzędnika austriackiego w sądzie szlacheckim lubelskim i Eleonory z Longchampsów. Była to rodzina dosyć zamożna, prócz bowiem owego folwarku posiadała jeszcze dom murowany w Lublinie, a z metryki Wincentego widzieć można, że przyjaźniła się ze Seypionami i Grabowskimi. Kolejną jednak późniejszych wypadków posiadłości lubelskie Polów poszły na cztery wiatry, i dopiero około 1860 r. córki znakomitego poety przyszły napowrót do posiadania Firlejowszczyzny.

Wincenty pierwiastkowe nauki pobierał pod okiem ojca w szkołach lubelskich, na dalsze zaś był wysłany do Wilna, gdzie krewny jego ks. Justyn Pol był wizytatorem słynnego z bogactw, wzorowo utrzymanego seminarium i nader czynnej drukarni zgromadzenia ks. misjonarzy na górze Zbawiciela. Pod opieką tego krewnego młody Pol odbył cały kurs nauk w uniwersytecie wileńskim, otrzymał stopień doktora filozofii, a nawet sam podobno miał tam wykladać literaturę niemiecką. Jeżeli księdzu Justynowi Polowi poeta nasz za-



WINCENTY POL.

wdzięczał ową pobożność, której się nigdy nie przeniwierał w swych pismach, a która przypinała mu jeszcze skrzydła kiedy się wszystko kruszyło, to pewno najdzielniej podówczas jeszcze stojący oddział nauk fizycznych i matematycznych uniwersytetu dał mu klucz do owej niepospolitej znajomości przyrodzenia, którą podziwiamy w każdym utworze Pola. Nieprzeliczone twory świata nieożywionego i ożywionego, na wskroś poznane i w szkole i w podróżach oglądane przez pryzmat sztuki składały się na owe „Obrazy” i owe „Głosy” natury prozą i wierszem, jakim równych nie znajdujemy w pisarzach polskich z wyjątkiem Kochańskiego i Mickiewicza

Po ukończeniu nauk w Wilnie i kilkuletnich wędrowkach po kraju lub obczyźnie, Pol stale zamieszkał w Galicyi, gdzie też najczęściej przesiadując we Lwowie lub Krakowie po latach kilkadziesiąt doczekał chwalebego zgonu. Tam po raz pierwszy poznało go szersze koło publiczności jako autora krążących od lat kilku w rękopiśmie, a wreszcie w r. 1833 zebranych i wydanych razem w Paryżu. Uderzało to już zapewne niejednego iż w poezjach Pola nawet w najkompletniejszym zbiorze wiedeńskim, w którym przecież znalazłyby się rzeczy niewarte papieru i druku, napróżno się szuka osobistych utysków serdecznych poety do czulej lub nieczulej kochanki. Tębardziej uderzać to musiało wówczas, kiedy ukradkiem porównywano owe ossyaniczne, ponure pieśni z dwudziesto-kilkuletnim autorem, któremu się ledwo wąsik sypać poczynał. Zdaje się jednak, iż leżało w naturze poety że go inne przedmioty do uniesień li-

rycznych porywały, że czuł to sam najlepiej i umiał względem siebie być szczerym. Widoki natury, jak to można zauważyć w mnóstwie jego obrazków karpaccich i podgórszych, pograżały go w napół filozoficzną, napół marzycielskiej zadumie. Sromięźliwsze uczucie serca snadź według niego wtedy się tylko głośno wypowiedać mogły, gdy jak w *Mohorcie* było się narzeczonym i już na ślub się jechało. Jeżeli takie było usposobienie umysłowe i taki kierunek obyczajowy poety, oczywiście pisząc inaczej, kłamałby przed samym sobą i okłamywał innych.

Stało się jednak, że poeta, w którego pierwszym wystąpieniu odmalowała się cała szczerota artystyczna, był posadzony o artystyczną obłudę. Za powód tego sądu posłużyło zerwanie pod pewnym względem z kierunkiem poprzednich poezji i ostateczne przerzucenie się na pole życia szlacheckiego. Myła się wszakże ci, którzy sądzą, że znana zarażliwość szlacheckiego galicyjskiej tak szkodliwie zwiechnęła jego zacne usposobienia. Pol jak wielu innych w owiej dacie, musiał na drogach nieznanych szukać sposobów do życia, których poezja nie daje, a powiedziałbym nawet, bez upodlenia się do roli najemnicy dawać nie może. Pisał tedy podówczas niewiele, ale co pisał, zostawało w najściślejszym moralnym pokrewieństwie z jego najpierwszym wystąpieniem, a jeśli było złagodzone i pogodniejsze, to w taki sposób, w jaki później doradzał kurować się narzekającemu poecie: „Przyłóż ziemi, ziemia wszystko leczy.” Któż nie dopatryz tej ciągłości uczuć i myśli w *Szejne Katarzynce* drukowanej w „Orędowniku” 1842, albo w *Pieśni o ziemi*, w tymże roku po raz pierwszy ogłoszonej i wielokrotnie później przedrukowywanej (ostatni raz u S. Orgelbranda w Warszawie 1859.) Gawęda też szlachecka, której próbą najwdzięczniejszą pod względem pogody myśli, plastyczności obrazowania, jednolitości akcji i wyrobienia wiersza była pierwsza przygoda *Benedykta Winnickiego* w wyprawie do Nieświeża, jakkolwiek urodziła się w Galicji, była poczęta jeszcze w Lubelskiem. Winnicki był postacią rzeczywistą; z jego rozmów młodzieńczy umysł Pola poznawał świeżo zapadłą przeszłość i „do obrazów zbierał farby” na lat dziesiątki przed wystąpieniem z gotowem malowidłem w 1839 r. Jeżeli stracili swojego Uhlanda, jak Niemcy słusznie nazywają Pola, by w zamian dostać Homeryda szlachty, — stało się to w sposób jak najzupełniej naturalny, znów dowodzący wielkiej szczeroty artystycznej poety.

Rzeń galicyjska 1846 r., tak dalece oddziaływała na poetę, że skutkiem wstrząśnienia nerwów stracił zdrowie fizyczne, którego już nigdy w poprzedniej mierze odzyskać nie mógł, a co większa do głębi zmienił się kierunek umysłowy i nastrój pieśni poety. Z wieszczą opiewającego naród dla narodu, Pol stał się gawędziarzem rozprawiającym szlachcie o szlachcie, albo powiedzmy ściślej, mówiącym szlachcie ubogiej o świetnych czynach magnatów i to czynach niezawsze wartych poetyckiego oświetlenia. Pod względem nastroju duchowego Pol po roku 1846 niezaprzeczenie stoi niżej od Pola z przed roku 1846, niżej mniej więcej o tyle, o ile niższa jest jego późniejsza od owiej nieźrównanej *Pieśni o ziemi*. Wszakże burza literacka, którą ta zmiana w Polu wywołała, wszystkie owe długoletnie szczypania, docinki, uwłaczania i obelgi, które znosił od tak zwanego (odpuść Boże!) demokracji galicyjskiej, były całkiem niezaskuszone. Pol stał się tym czem człowiek ogromnie wrażliwy, żyjący więcej wyobraźnią niż rozumowaniem, stać się musiał pod brzemieniem

straszliwych okoliczności. Inni pod wpływem tych samych okoliczności upadali jeszcze głębiej. Pol jeżeli kiedy potraçał o lud wiejski, jak np. w *Powodzi*, malował jego dobre strony z całą miłością obywatela i poczuciem sztukmistrza. Zresztą robić mu zarzut z wyboru tematów byłoby to samo, co obwiniać np. Lenartowicza o wyłączenie poświęcenie swęj pieśni ludowi wiejskiemu.

Zmieniwszy kierunek umysłowy, Pol miał gotową nutę do pieśni odpowiadającej nowemu kierunkowi we własnym utworze: *Przygody JP. Benedykta Winnickiego*. Rozciągała, swobodna forma „gawędy” za której twórcę uważają zwykle Pola, chociaż rodzonym ojcem tej formy jest Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*, dziwnie pięknie, jakby mieniąca się wstęga jedwabna, wygina się w najrozmaitsze linie pod ręką poety. Charakter polski nieskazitelnej czystości, tok mowy prawdziwie szczeropolski, wyrazy najczęściej proste, ale dobitne i malownicze, nieprzebrana obfitość wyrażen przysłowiowych, tu i owdzie zwrot uderzający szczęśliwą oryginalnością, tu i owdzie archaizm z kroniki lub starego poety, częściej prowincjonalizm gwary górala, z którym się w Karpatach po sto razy gawędziło, — wyhaftowały w gawędzie Pola styl jemu tylko właściwy, tak właściwy, że kiedy nie zawsze bez powodzenia rzucano się na naśladowanie stylu Zaleskiego, Słowackiego i Krasińskiego, tymczasem stylowej właściwości Pola nikt nawet naśladować się nie pokusił. Ta forma i ten język poety, przy niezmierniej wyrazistości, rzec można wypukłości obrazowania, sprawiają, że nawet utwory tak słabe, powiedziałbym nawet takliche pod względem osnowy, jak *Senatorska Zgoda*, *Sejmik w Sądowej Wiśni* i *Stryjanka*, czytają się z zajęciem i przyjemnością. Cóż mówić, jeżeli treść wewnętrzna odpowie zewnętrznemu misterstwu, jeżeli poeta w swęj praktykowej rzeźbie ze słońców kości wystawi nam postać Mohorta lub Tarnowskiego! Jeden *Mohort* jużby wystarczył na zapewnienie Polowi, nieśmiertelności.

Są wyobraźnie, jak struny na pewny ton nastrojone, odzywające się same, lecz tylko wtedy, gdy ton pokrewny zabrmi w pobliżu. Mielśmy szczególnież znakomitych pisarzy, którzy nie mogli wyjść po za koło XVIII stulecia. Rzewuski, Chodźko, Kaczkołki, okazywali się bardzo mierzonymi myślicielami i artystami, ilekroć po za sferę tego wieku wstecz albo naprzód sięgnęli. Do takich ludzi należał Pol w drugim okresie swego zawodu pisarskiego. Nie wiemy czy potwierdzi lub zbije nasze zdanie nowy jego poemat wychodzący albo może już wyszły w Poznaniu u Żupańskiego; lecz nie zbija tego twierdzenia ani *Wit Stwos* ani *Hetmańskie Pachole*, poemata mające treścią swoją należeć do XV i XVI wieku. *Wit Stwos* ma ustępy cudnej piękności, ale całość gadatliwa i słaba, nadewszystko zaś utwór ten nie ma barwy jakiegokolwiek ściśle oznaczonego wieku. *Hetmańskie* zaś *Pachole* może właśnie dla tego jest utworem znakomitym, że autor się nie postrzegł, jak wypadki XVI-go stulecia roztoczył na kanwie XVIII w. Inne utwory większe, jak np. *Powódź*, mająca być komedią, rzeczywicie zaś będąca tylko dramatyzowaną gawędą, służą jedynie na poparcie naszego twierdzenia. Jako liryk, Pol rzec można wyczerpał całą namiętność w *Pieśniach* poprzedniej poezji, później gawędził i w utworach lirycznych, a sprawiedliwość wyznać każe, iż gawędził niekiedy arcy rozwlekle, niesmaczno i nudno, jak w wielu a wielu lirykach trzeciego tomu wydania wiedeńskiego. Niejedno wszakże

z tych niezbyt artystycznych narzekań policzyć należy całkowicie na karb tych, którzy wzrostem ducha i talentu nie sięgając do kolan autorowi *Mohorta*, uwijaniem się koło niego ze swymi lilipuciami więzami i pociskami, wyprowadzali go z ciępliwości. — Od przewrotu galicyjskiego Pol z wielkiem zamiłowaniem poświęcał się badaniom geograficznym, zwłaszcza o ile się rozciągały na przestwór własnego kraju, a przedewszystkiem na Karpaty. Zdobył swojemi dziełami się z katedry, a kiedy mu ją zabrano, składał je w większych i mniejszych rozprawach, z których, o ile wiadomo, część tylko była drukowana. To cośmy mieli drukowanego, prócz *Geografii Ziemi Świętej*, poświęcone było etnografii i językowi polskiemu, w opowiadaniach pełnych malowniczości oryginalnej, jakkolwiek barwa prozy poetyckiej Pola wręcz się różni od jego poezji rymowanej. Z innych prac prozą wymienimy tylko książkę *O literaturze polskiej XIX wieku*, powstałą z odczytów mianowanych we Lwowie w r. 1864. Książce tej można niejedno zarzucić, ale nie wolno odmawiać jej autorowi ani samodzielności sądu, ani sumienności, ani obywatelskiej śmiałości w wypowiedzeniu tego, co uważał za prawdę. Ktokolwiek chce sądzić Pola jako pisarza i człowieka, musi przedewszystkiem dzieło to z wielką uwagą przeczytać.

Ścieżka życia prywatnego autora *Mohorta* bynajmniej nie różami była usłana. Po stracie katedry w Krakowie, poeta prowadził żywot koczowniczy, to redagując we Lwowie *Czasopismo Biblioteki Ossolińskich*, to napawając się kurzem biblioteki uniwersyteckiej w Krakowie, to używając rzadko dozwolonego wczasu w gronie możnych przyjaciół na wsi. Tymczasem rozstrój nerwowy, wiek i praca sprowadziły utratę wzroku i zmusiły do ograniczenia działalności jedynie na zasobach wewnętrznych. Wtenczas dopiero przyszło nareszcie do pomyslenia o uznaniu jego talentu i zasług. Wydział krajowy sejmowi lwowskiemu począł wypłacać Polowi pensyjkę z funduszu publicznego; cesarz Franciszek Józef na równi z pierwszym poetą austriacko-niemieckim Grillparzerem, przyznał mu pensję dożywotnią z własnej szkatuły; zawiązująca się akademja krakowska policzyła go w rzedzie pierwszych swych członków. Pol nie doczekał już korzystania z tego ostatniego zaszczytu, bo po długiej chorobie zmarł dnia 2 grudnia r. b. w Krakowie, gdzie ostatnimi laty niemal bez przerwy zamieszkiwał domek ustronny.

Wspaniałe pogrzeb zadziwił samych Krakowian, którzy zajęci teatrem, radą miejską, polityką, nadewszystko zaś wyborem między Pawlickim a Darwinem, między Golanem a Döllingerem, nienajgorzej byli zapomnieli, że Pol żył między nimi. Zapał tak się podniecił, że wystąpiono z żądaniem przeniesienia zwłok poety do grobów królewskich na Wawelu, gdzie dotąd z rodziny niepanującej tylko jeden Kościuszkospoczywa. Otwarto składki na wzniesienie wspaniałego pomnika. Krótko mówiąc — finał *Zgonu Acerna* odegrywa się co do słowa. Duch poety cieszyć się powinien z tej jedynie szlachetnej pomsty za zniewagi, których mu nie skąpieno za życia...

## FALSTAFF.

Falstaff John, byłto nieodstępny<sup>1</sup> towarzyszy awanturnicznych przygód Henryka księcia Walii, późniejszego króla angielskiego Henryka V którego pamięć uwiecznił Szekspir w swym Henryku V i w wesołych kobietach z Windsoru.

Charakter Falstaffa bywa częstokroć niezrozumianym przez dobrych nawet artystów, którzy zwykli przedstawiać go jako nieforemnego pajaca. Rzeczywiście on miał być otyłym i jakby nalany, przytém hultaj, niepoń; w pożyciu jednak wesoły, przyjemny i pełen dowcipu, ordynarnego wprawdzie. Obok tego tehrz, samochwał, rozpustnik, filut i pochlebca.

## RAMULTOWIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Dokończenie. (Ob. Nr. 104).

XVIII.

— Może to być—kłaniając się rzekł Herman; ale ja... ja się jej boję...

Lelię to wyznanie rozweseliło: wielki ciężar, spadł jej z serca...

— Przyznam się panu, że tam na pana już rachują. Nie Hanna, ale rodzina i laskawi opiekunowie dobrowolni... Gdy zobaczą, że hrabia o niej nie myślisz, rozpoczną się dopiero wysciigi...

Herman ruszył ramionami.

— Ja pani powiem jedno: nigdy się nie ożenię dla pieniędzy, stosunków i imienia—za to ręczę. Z miłości choćby niedorzeczność popełnić—ha! no! przynajmniej wiem, że brylant choć raz miał w ręku... którego drudzy szukają nadaremnie.

Co się tycze Sylwana—począł po chwili—ponieważ pani abdykujesz, on rozpacza... pozwólcie mi nie pochodzić w tym interesie, mam wiele śmiałości, a czasem dużo szczęścia...

Sylwan się odwrócił, bo stał pakując książki, i począł się śmiać ujawszy w boki, śmiechem suchym i niewesołym.

— Herman moim plenipotentem!

— Wiesz, że szalonym się powodził! — Kto wie, jabym jeszcze mógł wszystko połączyć.

— Ja rzeczy łatanych nie lubię — zamknął Sylwan.

— A ja tylko o jedną rzecz proszę: — nie śpieszcie się.

To mówiąc odprowadził Lelię na bok, coś z nią poszeptał i wyniósł się bardzo prędko.

XIX.

Nazajutrz rano, gdy hrabina miała rozpocząć toaletę, która zwykle trwała bardzo długo, a teraz się przeciągała do nieskończoności, bo chciała się przypodobać Lubiczowi... panna Złocińska, którą snadź Herman skłonił do tego... oznajmiła jej że jakaś młoda przyzwoita osoba z małym dziećciem, prosi koniecznie, aby na osobności z hrabiną widzieć się i pomówić mogła.

— To pewnie jakaś żebraczka... stęknęła matrona—zlituj się, uwolnij ty mnie od niej... daj jej co tam uważasz...

— Ale to wcale nie wygląda na żebraczkę.

— No, już ja ci powiadam... choćby w atlasach była... pewnie po pieniądze... Tym natrętom opędzić się nie można.

— Wyraźnie mówi, że ma interes osobisty, ważny... tyżący się... podobno, jeśli dobrze zrozumiałam, pana Lubicza...

Hrabina przestraszyła się.

— Cóż to? ktoś już z jego ubogiej familii, czy co?

— Nie, zdaje się być Niemka...

— A no... to trzeba ją poprosić—ale coż to może być? proszę cię, co to może być?

— Nie wiem, szepnęła Złocińska...

Hrabina przejrzała się w lustrze i mączką ryżową przypudrowawszy twarz... wsunęła się do salonu...

Tu stała już z maluchnym ślicznym dziećciem, wystrojona po parafiańsku, *in fiocché*, panna Gretchen Frisch, cała różowa ze wzruszenia i wstydu... Mówiła szczęściem po francuzku i po polsku, że się z hrabiną rozmówić mogła, a użyła francuzczyzny, aby dowieść, że przecię należała do *gebildowanych*

— Pani hrabina Ramułt?

— Tak jest... pani...

Gretchen zaczęła płakać i z za łez mówić—pokazując jej dziecie.

— Widzisz pani przed sobą nieszczęśliwą ofiarę... niewiary i nieczemności mężczyzn... Zostałam przyrzeczeniami małżeństwa... które złożyć mogę w listach... uwiedziona przez hrabiego (dodała mu ten tytuł) Lubicza...

Matrona z krzykiem padła na kanapę łamiąc ręce: sądziła z razu że to sprawa syna, tyżąca się tylko jej worka... cios uderzył ją w serce...

— Tak jest, mówiła zapominając już płakać Gretchen, a zapalając się coraz więcej: tak jest, ten niegodziwy człowiek... jest ojcem niewinnej istoty, którą pani widzisz na mych rękach... Wiem z odgłosu publicznego iż hrabia Lubicz zamysła się żenić... ja będę stawiała opozycję w imię praw dziećcia mego i moich.

Pani Ramułtowa zakrywszy twarz rękami, już słuchać nie chciała nawet. Obawa skandalu przerażała ją—Lubicz zaręczał zawsze że jego miłość była pierwocinami uczucia... W jednej chwili miłość jaką hrabina miała dla niego obróciła się w chęć zemsty i nienawiść.

Wstała trzęsąc się z kanapy.

— Mogę pani: zaręczyć, zawołała że noga tego człowieka nie przestąpi mojego prog... nie myślę rywalizować z waćpanną... Proszę mnie zostawić w pokoju...

Ale panna Frisch nie była tak łatwa do pozbycia...

— To bardzo pięknie, rzekła—jednakże gdybym miała być zwiedziona przez panią, jak byłam przez tego niewiernego... przysięgam, że gdziekolwiekbyście państwo skryć się chcieli...

— Ale ja się krokiem nie ruszam! nie znam tego pana! daj mi waćpanna pokój! krzyknęła hrabina i głośnieć jeszcze zaczęła wołać:—Złocińska wody! wody!..

Na głos dzwonka służba się zbiegła cała, kamerdyner w białym krawacie i rękawiczkach... lokajów dwóch, kredencierz, garderobianna, Złocińska...

Hrabina miała mdleć...

Domyślając się, że stojąca przed panią kobieta była całego tego nieszczęścia przyczyną, kamerdyner nie czekając rozkazów począł ją grzecznie wypraszać... Panna Frisch oburzona nie ustępowała. Hrabinę porwał płacz ze śmiechem serdecznym...

Wysłano po doktora, ktoś ze służących dał znać Hermanowi... Syn nadbiegł, ale nie dał po-

znać po sobie, że zna i widział pannę... Przez Złocińską wszakże kazał jej powiedzieć żeby jechała do domu spokojna...

Z wyjściem panny Frisch, pokój został przywrócony... hrabina piła wodę z cukrem i kroplami laurowymi—i płakała... Herman sam przy niej pozostał. Wzięła go za rękę bojaźliwie i niemal zawstydzona...

— Hermanie, rzekła—trzeba zapobiedz skandalowi—na miłość Boga! Oszukano mnie... Lubicz jest człowiek nieczemny... Idź powiedz mu.

— Mamo kochana, ja—nie mogę, odparł Herman... Trzeba, żeby mama napisała list, posłemy mu odprawę... a ręczę że jeśli się osmiele próg domu przestąpić... nie wróci z niego cało...

Długimi łzy, a nawet kilkodziową chorobą, skończył się tak nieszczęśliwie jesienny romans hr. Ramułtowej, która, pobożną będąc zawsze, stała się po tej próbie tak bolesnej stokroć jeszcze gorliwszą w modlitwach i praktykach religijnych...

Herman już tego dnia, przewidując, że może być w domu potrzebny na krok się nie ruszył.

Straszliwa burza, natychmiast zażegnana, zagroziła Lubiczowi... Odebrał list hrabiny i osłupiał. Z razu sądził, że mu się uda wytłumaczyć; lecz ojciec Frisch nadszedł i oznajmił, że córka podaje skargę, a on gotów jechać do króla i paść mu do nóg dla ocalenia jej honoru. Widząc się w tak krytycznym położeniu, Lubicz zwrócił się do swoich, wołając: „Ratujcie!”

Nie można go było opuścić gdyż skandal tak znakomitego obrońcy społeczeństwa dotykający, cały obóz w złém świetle wystawiał. Trzeba było sprawę przyduścić. Radzono różnie, nawet się żenić i rozwiść... Lubicz za nic zawiązywać sobie świata nie chciał, przewidując, że dojrzałą osobę, jeśli nie tę to inną, wyszuka dla zabezpieczenia przyszłości. Posłano uproszonego bardzo poważnego urzędnika, aby *interes* ten starał się załatwić z pomocą *indemnizacji*. Z razu o żadnej *Entschädigung* słuchać nie chciano. Ojciec panny był kawalerem dwóch wysokich i dwóch niskich orderów, radcą pocztowym i czemś jeszcze... panna wołała o oltarz i benedykę...

Dwa dni trwały umowy, których na ostatek dokonał mąż poważny wypłatą pary tysięcy talarów, na które obóz się złożył—choć wiedział dobrze, że ich nigdy nie odbierze... Lubicz otrzymawszy formalne pokwitowanie z matrymonialnych pretensyj, chciał z niem wrócić *à ses premières amours*, do hrabiny—lecz tu drzwi zastał hermetycznie zamknięte. Na straży stał syn.

Mściwy choć nader słodki Lubicz, domyślając się w swém nieszczęściu ręki „*czarstnych wrogów*” poświęcił się odkrywaniu sprawców katastrofy—lecz nie było sposobu nie się dowiedzieć, a panna przez wdzięczność dla ładnego chłopaka, który jej myśl tę podał, wydać go nie chciała.

Herman dopiero w parę dni na świat się ukazał, a lżej mu było na sercu bo matkę od wstydu i niedoli ocalił... Tak mu się już wiedło teraz, że jak kapitalista któremu się jedna spekulacja poszczęściła—pragnął nowęj.

Pokrewieństwo z Lelią i Sylwanem z którym Junosza nigdy zupełnie stosunków nie zerwał, nieświadomego niby tego co zaszło Hermana upoważniało zaprosić ich na obiad nie w domu u mamy, która była chora, ale w restauracji. Lelię i Sylwana zaklął naprzód, żeby mu nie odmawiali. Poszedł potem zapraszać p. Aleksandra Junoszę.

— Niechże mi pan uczyni tę łaskę—rzekł, a nie odmówi zjeść z parą dobrych znajomych skromny obiadek: Mam parę czeskich bażan



FALSTAFF.

tów, które K... umie przyrządzać z truflami prawdziwymi perygordzkimi... doskonale.

Smutny Oles ożywił się zaraz słysząc o pieczystym...

— Ale czy z różną? z różną? zawołał...

— Al jakżeby inaczej znośne być mogło pieczone! krzyknął Herman...

— Serdecznie ci wdzięczny, że z góry wiem co mnie czeka, bobym się dał skusić sztucemiasa—z wyrazem wdzięczności szepnął Oles.

Ścisnęli się serdecznie, umówiono się o godzinę. Herman zaprosił Dołęgę, który teraz był mu (pożyczony od niego paręset talarów) jak najlepszym przyjacielem. — Lelia i Sylwan... nie wiedzieli może o Junoszy, bądź co bądź obiecali przyjść i na godzinę się stawili. Towarzystwo tak dobrane... z mieszało się nieco z razu... ale gospodarz był pewien że chmury do pieczystego i szampa się rozejdą. Lelia zajmowała miejsce gospodyni, pan Aleksander zajął obok niej krzesło. Naprzeciw niego siedział Sylwan, przy Olesiu Dołęga, gospodarz przy bracie.

Obiad rozpoczął się zimno...

Dopiero po Sherry żywsza rozmowa słyszeć się dała — podano Chambertin niewidzianej doskonałości i do wyboru Château Lafitte i d'Yquem wonny.. tak, że cały pokój aromatem swym napełnił... pan Aleksander przy rybie począł mówić z Lelią i wdychać... około pieczystego śmiało się głośno... Sylwan był wprawdzie ponury, ale tego Herman wzięwszy na siebie, tak od reszty gości odciągnął, iż nikomu nie przeszkadzali... Dołęga zaś z niezrównaną zręcznością wiązał na nowo rozerwaną sieć, w którą był wpadł Oles czuły...

Przy szampańskim pochylił się on uśmiechnięty ku Leli i zaklinał ją, by ofiary serca nie odpychała.

Jak tam dalsza poszła rozmowa, nikt nie słyszał, dosyć że wstając do czarnej kawy i likworów, byli wszyscy w najmilszym usposobieniu — a Oles odosobniony siedział z Lelią i na wieczór do siebie gwałtownie zapraszał, dowodząc że staroscina po niej tęskni, że Hanna płacze, że on usycha...

— Ale ja nie pójdę nigdzie bez brata — odparła Lelia.

— No — a dla czegożby pan Sylwan nie był łaskaw?

— Proś go pan...

Oles posłuszny — gospodarza, Dołęgę i szanownego pułkownika (dawano czasem ten tytuł cudzoziemski Sylwanowi) poszedł gorąco prosić na herbatę.

Sylwan skłonił się tylko...

Dotrzymywał placu Oles, dopóki Lelia siedziała... odprowadzili ją potem wszyscy do miesz-

bie przyciągnąć. Udało im się to łatwo; — modliła się i była spokojna.

Co się tycze Olesia, o którego też czasem się niepokoiła, bo go dosyć dobrze znała... wołała by była może Lelią dla niego, niż inną jaką nieznaną a niebezpieczniejszą niewiastę, a miała przekonanie to, że się nieochybnie ożeni. Tém jedném gryzła się jeszcze czasami.

Gdy w popołudniowej godzinie odmawiała właśnie wieczorne nabożeństwo — wsunął się, nie o swojej porze... Oles — pokornie, cicho a różowy i popołudni (co staroscina poznawała zawsze). Domyśliła się iż z czémś niezwykłym przychodzi, najpewniej z interesem... do wreczka...

Oles ręce zacierał, był to znak dobrego humoru...

— No cóż tam u ciebie słycać? zapytała zakładając książkę...

— Tak, szczególniejszego nic... na herbatę musiałem prosić kilka osób — nie wiem czy mama im będzie rada, a mnie bury nie da.

— No! no! a kogóż?

— Lelię...

— Ech! znowu Lelię... jużem myślała, że sobie pojechała.

— Ale nie mamy powodu zrywać... i toć przecie dawne stosunki... a z Lelią musiałem i Sylwana prosić.

— Otóż masz! odezwiała się staroscina — otóż masz! po co? Hanna już to sobie była wyperswadowała, sam go znowu do domu wprowadzasz!

— Cóż że raz przyjdzie? po co sobie mam robić nieprzyjaciół!

Staroscina westchnęła

— Zdaje mi się, o ile mogłam uważać, że i Hanna mu nie będzie nawet rada. — Kogóż więcej?

— Dołęga, może jeszcze osób parę — a! Herman.

— No — to przynajmniej lepiej — Hermana lubię i Hannie od niejakiego czasu jest dosyć miły.

Oles ucałował rękę staruszki.

— Ale po cóż ten Sylwan? dodała wdychając... Wiedzie co to o nim mówią... wszyscy ludzie poważni utrzymują, że to jest niebezpiecznych zasad człowiek.

Na to zamilkł pan Aleksander.

— Trudnoż go było pominąć zapraszając Lelię. — Hm! Lelia dobra osoba, i ty masz do niej słabość — już coś była z razu znikła, teraz znowuście się zbliżyli.

## CHARAKTERYSTYKA MIEJSC TEATRALNYCH.



PARADYZ.

kania, i dano sobie słowo zejść się o ósmę do starosciny. Oles wesół, różowy, nucąc poszedł ją uprzedzić.

Staroscina w ciągu tych wszystkich przemian prawie całkiem nieświadomą ich była: nie o wszystkiém jęj powiadano, nie wszystkiego się domyslać mogła, wiele starano się ukryć, a nie koniecznie była ciekawa. Obchodził ją tylko los Hanny, a że Sylwan się usunął a Herman przybliżył, rada była i spokojna. Osoby co ją otaczały działały na pobożną niewiastę w ten sposób, by ją do Sylwana i Leli zrazić, a ku so-

— Mama ją dawniej dosyć lubiła...

— Ale ja ją i teraz lubię... tylko—tylko, ten brat... i... ale już dajmy temu pokój... jeśli przeszeni.

Oleś spojrział na staruszkę... i nie przeciągał rozmowy... Hanna też nadeszła na ostatnie wyrazy... a że trzeba było herbatę i przyjęcie przygotować, staruszka oznajmiła jej o gościach.

Obróciła się do ojca.

— Któż będzie? spytała.

— Lelia, Sylwan, Herman... Dołęga... rzekł prędko Oleś. Hanna się zarumieniła.

— Jakto? Sylwan i Herman...

— Tak! tak! odparł ojciec...

Ruszyła ramionami... Babka popatrzyła na nią: nie można było zrozumieć czy rada jest temu, czy niezadowolona... zakłopotana była widocznie...

O naznaczonej godzinie, Dołęga, który od sieni i spotkania ze służącym już śmiał się tak głośno że go na cały dom słyhać było—pierwszy się stawil i przyszedł do starościny. Lubiła go dosyć i miała za przyjaciela domu. Począł i dopytować o gospodarza który był znikł.—Starościna szepnęła mu na ucho.

— Wystaw sobie, znowu Lelię i Sylwana za prosił..

Dołęga usta skrzywił.—Widzi pani starościna trzeba było—musiano. —Ja sam Sylwana nie bardzo lubię—pedant, purytanin, zapaleniec, ale znowu tak zły człowiek ani tak czerwony jak go okrzyczano nie jest. Mnie się zdaje, że jego by nawrócić można... że on się nawróci... a co się tycze pani Lelii, dodał ciszej, pan Aleksander zaszłapał się, formalnie zaszłapał... Pani dobrodziejko—daremna to rzecz, trudno go będzie utrzymać... Lepiej żeby to mniejsze głupstwo zrobił, niż inne, któreby niebezpieczniejsze być mogło.

— Ale najlepiej żeby żadnego nie robił, odparła żywo starościna biorąc za pończochę... Do czego mu to!...

Zamilkł Dołęga... Herman ofiarował się razem z Lelią i Sylwanem, i towarzyszył im też tutaj... Powitanie było nieco ceremonialne... Starościna zagadała do Lelii chłodno, prosiła siedzieć, zadzwoniła zaraz, żeby Hannę prosić. Zjawiała się i ona, także nieco inna niż dawniej była z przyjaciółką... Sylwanowi skłoniła się z daleka... do Lelii przemówiła... w oczach widać było rozdrażnienie i niepokój.

Herman przyniósł z sobą cały swój dobry humor, aby towarzystwo nim jeśli można ożywić. Nie była to rzecz łatwa... lecz częstokroć ton dany przez jednego człowieka... energicznie, może zmienić usposobienia.

Szło mu głównie o zbliżenie Sylwana do Hanny. Zaczął od tego że sam się do niej przysunął.

— Przyprowadziłem pani mego brata, rzekł i mam nadzieję że zostanie dobrze przyjęty... Podobalo się pani odebrać mu zbyt wielkie i śmiałe nadzieje jakie mógł powziąć... ale to przecię nie przeszkadza stosunkom dobrym i wzajemnemu szacunkowi...

Mocno zarumieniona Hanna spojrziała na Hermana i milcząc podała mu rękę.

— Wdzięczną panu jestem—rzekła cicho—czytałam sobie zgody z przyjacielem lat dziecinnych... Chwilowemu nieporozumieniu był może on winien, a może trochę porywczosć moja...

— Gdybyś pani chciała wypędzać ze swego salonu wszystkich admiratorów pięknej Violi—rzekł Herman śmiało—to moja nogaby tu postać nie powinna... Sylwan miał dla niej litość patryarchalną, a ja—słowo pani daję—mam głowę zawróconą...

Odróciła się Hanna i popatrzyła nań.

— Pan? pan? spytała.

— Ja! tak! niestety! westchnął Herman: biję się w piersi, przyznaję! Przy pani trudno o czarodziejek mówić, bo pani jedną z nich jesteś, ale Viola czaruje dziecinną śmiałością, talentem, a nawet wynędznieniem swoim i chorobą...

— Co za entuzjazm! rozśmiała się Hanna.

— Panibys go podzielała, gdybyś ją widziała z blizka...

— Sądzisz pan?

— Jestem tego pewien... a zatem przypuszczę pani do zgody i łaski swój biednego Sylwana, który niewinnie ucierpiał wiele...

Na to nie było odpowiedzi... Herman odszedł, Hanna postąpiła do stolika, ogólna rozmowa o wypadkach dnia toczyć się zaczęła—Sylwan się do niej przyłączył... Parę razy Hanna zwracała się wprost ku niemu odpowiadał jej grzecznie, spokojnie, nie okazując wzruszenia ani najmniejszego gniewu.

Złożyło się tak że Dołęga przysiadł do starościny, papa Oleś do Lelii, Herman zaś Sylwanem pokierował, aby go z Hanną odłączyć i dozwolić się im rozmówić z sobą. Miał wszelką nadzieję, iż przyjdzie do porozumienia.

Lecz Sylwan łatwy nie był do takiego pokierowania, ociągał się nieco i brat musiał bardzo czynnie chodzić około niego, nim go oddał nieznacznie pannie Hannie...

Wpółśród rozmowy we troje poczętęj, wymknął się z ręcznie, Hanna zdawała się na to czekać tylko i natychmiast odezwała się do Sylwana:

— Czy mi pan moją porywczosć a może niesprawiedliwość przebaczyłeś?

— O! najzupełniej—kłaniając się odparł Sylwan...

— I nie gniewasz się pan na mnie?

— Mógłżebym...?

— Zatem... zapomnij proszę co zaszło...

— Nie mówmy o tém panno Hanno, począł

Sylwan, usiłując utrzymać ton chłodny. Ja powinienem wdzięczny być pani i jestem wdzięczny. Młody, mogłem śmielęj patrzeć w przyszłość, ludzi się—nie rachować odległości jakie dzielą ludzi... mogłem się mylić, myliłem... pani mnie zwróciłaś na drogę rozważa... zastanowienia... i zawsze wdzięczny jej za to będę.

Zarumieniła się Hanna, nie mogąc z razu odpowiedzieć.

— Herman który pana kocha i szacuje... przekonał mnie że obwiniałam go niesłusznie... zadość moja była śmieszna...

Sylwan znowu zamilczal.

— Więc jesteśmy jak byliśmy znowu starymi, dawnymi przyjaciółmi?...

— Tak, panno Hanno, rzekł Sylwan z westchnieniem: ja będę całe życie cichym jej wielbicielem... lecz dalekim i milczącym... Tuśmy się dopiero wszedłszy w świat żywy mogli przekonać jak nas dzielą losy nieodwołalne... W tym koncercie jaki odgrywa otaczająca panią społeczność, byłem, jestem i będę wiecznie nutą dysharmonijną... Spójrz, pani jakie mnie tu nieufne państwo dla mnie poświęciło stosunki wasze... więc się usunę... a dziś, panno Hanno, z dawnym uczuciem przyszedłem ja—pożegnać.

— Pożegnać? pan się mścisz na mnie? podchwyciła Hanna.

— A! pani! cóż za myśl!—spełniam com obowiązany,—co czuje, żem powinien... Przychodzi mi to z boleścią,—ale muszę... Gdybyś pani była sierotą, ubogą, bez rodziny... dobijałbym się szczęścia pozyskania opieki nad nią i towarzy-

szczenia jej do zgonu;—w tych stosunkach, w jakich jesteś, byłbym występny egoistą, gdybym ją narażał na... nieobrachowane skutki—mojego przywiązania... Wierz mi pani, pozostanie ono niezachwiane—lecz musi być... modlitwą gwembra do słońca...

Hanna popatrzyła nań smutnie.

— Nie rozumiem, rzekła—nie jestem winna, żem się urodziła w tém kole do którego należę... Od dziecinstwa przywiązałam się do was panie Sylwanie... a teraz przez jakąś delikatność nie zrozumiała... chcesz zerwać...

— Ja nie zrywam nic... pani to dałaś mi uczuć żem był zuchwały... i że nie miałaś wiary we mnie... Co się stało wczoraj, może powtórzyć się jutro... Kocham panią, cześć, wielbię, ale zepchnęłaś mnie tak nisko tą białą rączką swoją... że się już podźwignąć z upadku nie potrafię...

— Jeszcze raz panu powtarzam: nierozumiem was! Zawiniłam? daruj mi...

— Ale pani winna nie jesteś! przerwał Sylwan—jam winien, pozory były przeciwko mnie, gniew pani słuszny, oburzenie konieczne było... Pani nie jesteś winna, powtarzam—a mimo to jam się od téj chwili boleści miał czas rozmyślić i poznać położenie moje... Pani nie możesz rozstać się z tém co ją otacza, a ja w tém kole przyjęty być nie mogę...

— Ale gdzie są te koła, podziały społeczne, światy o których pan marzysz! odparła Hanna. Należymy do jednego świata, do jednego koła.

— A do dwóch różnych obozów... rzekł Sylwan. Na mnie cięży to, żem demokratyczne zasady posłubił, na mnie cięży, żem w postępie i nowe doktryny uwierzył, gdy to co was otacza wierzy w powrót ku starym porządkom i błogosławieństwu patryarchalnego żywota...

— I dla tego, że ludzie biją się o teorye, my się pożegnać mamy na zawsze? spytała Hanna. Panie Sylwanie! to doprawdy śmiechu godne!

— Pozwólże mi się pani tłumaczyć—począł Sylwan spokojnie. Przypominasz sobie pani, że w dawnych wiekach religia stanowiła zapórę do małżeństwa... rzadko kiedy kojarzyły się związki między osobami wyznań różnych. Krzyżowano na nietolerancję! Była w tém przyczyna rozumna i przewidywanie przyszłości. Różnica wiary stanowiła w małżeństwie ogromną przekonań, zasad... postępowania różnicę. Dziś społeczne doktryny roznamietniają tak jak dawniej spory religijne—i tak samo dzielą ludzi... Jedno z dwojga: albo bym ja musiał pójść za panią, lub pani za mną.

— Przypomnij sobie żeśmy zawsze szli razem—odezwała się Hanna—nie popełnię apostazy żadnej godząc się na wasze zasady... Były one niegdyś nam wszystkim wspólne... Najdemokratyczniejsza ze wszystkich europejskich szlachy była polska... to czemu się ona stała winiśmą sprowadzonym z zagranicy ideom... Po francuzku i po niemiecku nawrócono nas na nową wiarę... która nigdy naszą nie była...

Sylwan stał niemy...

— Przyjacielu młodości mojej—odezwała się Hanna... długi rozdział nasz nie daje ci już czytać w méj myśli, zrozumieć mego serca... Upominam się o to, byś chcąc mnie porzucić, przynajmniej w chwili rozstania... nie miał mnie za obłąkaną. Modliliśmy się w jednym kościele, panie Sylwanie—dwoma polskimi duszami, które Chrystusa i jego naukę kochały... mieliśmy dziś mieć dwie różne wiary i dwa przekonania? Czyżbyś się pan zaparł Chrystusa dla świata, a ja Ewangelii dla jezuityzmu?

— Ja jestem czém byłem—rzekł wzruszony

Sylwan—a panna Hanna, dzięki Bogu, jest moją dawną, odzyskaną polską dziewczyną... niezasłanną i namiętą sekiarką.

— Mogłeś mnie pan o to posądzić?

— Otoczona pani jesteś siecią tej propagandy, co restauruje katolicyzm słowem a rzeczą go obala... sądziłem, żeś się dała pięknym ich słowom uwieść.

— Nie—mleczalam, bo walka słów jest mi wstrętna, ale w duszy zostałam z moją wiarą dżięcinną... nie należymy więc do dwóch obozów i razem przeciwieście możemy.

— Ale—zawołała nagle stając—niech się to raz skończy! niech wszelkie niepewności ustaną... Proszę pana abys się jutro staroście i ojeu oświadczył.

Sylwan osłupiał...

— Pozwalasz pani?

— Każe!

— A jeśli... mnie odrzuca...

— Ja wam rękę moją daję, idziemy razem... odpowiedziała Hanna—nie mogą bez mej woli mną rozporządzać, a ja mam odwagę w obec całego świata powiedzieć:—jestem twoją.

Rozpromieniony Sylwan całował podaną mu rękę, a Herman poglądał na to z daleka, gdy starościna która także z pod okularów w tę stronę zwrócone miała oczy, przywołała Hannę.

Staruszka była drżąca, smutna i widocznie przestraszona.

W drugim końcu salonu prawie współcześnie łysy Oleś naglił Lelię o przyjęcie pierścionka napowrót...

— Ostatecznie powiadam panu, jeśli się ślub nasz ma odbyć kiedy, odbędzie się razem ze ślubem Sylwana i Hanny... inaczej nigdy...

— Ale Hanna! jać przeciwieście jej przymuszać nie mogę...

— Nie stawaj pan na przeszkodzie tylko...

Oleś się mocno zmieszał. W tej chwili Lelia mu wskazała stojących na uboczu Sylwana i Hannę... która mu rękę podawała. Nie słysząc nawet, co mówili, można się było domyślać między nimi zgody i jakiejś zmywy... Pan Aleksander popatrzał na starościne.

— A babunia? szepnął.

— Babunia jest słaba, ale dobra... na jej sercu polegać można... będzie się obawiała trochę i—zezwoi...

— Patrzaj-no pan kochany hrabio—szepnął Dołęga Hermanowi: dzisiejszy wieczór zakrawa na walną bitwę... starościna ma przeczuca i bardzo niespokojnie spogląda.

— Cicho!.. odparł Herman—my nie powinniśmy nie widzieć i niczemu przeszkadzać. Pan baw starościne, ja będę czuwał nad ogólnym porządkiem... Potośmy przeciwieście raz przyszli, abyśmy ich uszczęśliwili. Jak długo to szczęście trwać będzie, za to nie ręczę... ale czemuż go nie mają choć pokosztować?.. Bawmy starościne i—nie przeszkadzajmy...

## XX.

Dołęga wykałając sobie zęby wracał z obiadu z pewnym warszawskim finansistą, który potrzebując jego pomocy, najprzód go nakarmił i upoił, nim wysłał za interesami—był w humorze, syt, z kieszenią dobrze zaopatrzoną, w stanie błęgiego spokoju ducha... szedł powoli aby strawności nie przeszkodzić gdy go napadł Paprzyca, który biegł jak człowiek na obiad spieszący... a wielce głodem podrażniony. Nie próżny go żołądek w ten stan wprawiał, ale fatalne wiadomości, które z hukiemgrzmotów po bruku tego dnia się toczyły... Wpadł tak na Dołęga, że ten obawiając się uderzenia... z wolna się cofnął.

— Wiesz! wiesz! co się stało? poczał Paprzyca—ale prawda? miałeś tam być? prawda to? mów!

— Co? nie nie wiem...

— Ty, co powinienes wiedzieć wszystko?

— Ale cóż?

— Te intrygantki bezczelne! ta klika czerwona... te łajdaki, proszę ciebie! no? jakże niedomyślasz się? nie wiesz? Wszyscy przeciwieście mówią o tém. Baba obrzydła ta Lelia... wszak potrafiła Hannę wyswatać temu spiskowcowi, radykałowi, rewolucjoniscie... Sylwanowi, godnemu bracišzkowi swemu! A jak to cicho, ostrożnie, zręcznie poprowadzili! jak ojca uwikłali... jak starościne poczeiwą, zacną staruszkę annihilowali! jak oni to umieli cichaczem, slichnie wykonać! A! prawdziwie żeśmy się do nich nie umywali... Cha! cha! cha! I Hermana jak sobie pozyskać umieli podstawivszy mu aktorkę... Co to za stek brudów! I tego poczeiwego naszego Lubicza, już po zaręczynach, jak potrafilo odsadzić...

Dołęga słuchał ciągle, opatrując zęby i uwalniając je od resztek obiadu...

— Prawda, że wszystko to bardzo zręcznie się im udało—rzekł spluwając, ale—à la guerre comme à la guerre, cóż tu z tém poczać!

— Taki majątek jak panny Hanny! taki drugi po hrabinie—patrzajże, to wszystko oni obróca do swych celów... I ten poczeiwy Lubicz! co on teraz wart... bez grosza przy duszy?... Rachowaliśmy, że gdyby był się z hrabiną ożenił... mógł nam być bardzo użytecznym.

— No, ale przyznacie—odezwał się Dołęga—że ten jego romans z tą Niemką...

— Proszę cię, z takiego głupstwa robić wielkie rzeczy! któż w życiu będąc młodym nie dopuścił się podobnego grzechu?

— Zapewne—rzekł Dołęga...

— A ten Herman! wiesz?—dodał Paprzyca podnosząc pięść,—ja na niego jestem najbardziej zagniewany... Zdawał się iść z nami... położenie jego towarzyskie, stosunki, wychowanie... i—żeby tak czarną zradą się wypłacić żeśmy go tak przyjęli. To jest zrada!... to zrada!...

Dołęga mleczal obojętny...

— Albo ten głupi Oleś... wiesz?—wołał Paprzyca... żeby się tak dać złapać... staremu... niepojmuj! Wszystko to sieć ich intryg... spiski... spiski... dalej trzeba się będzie z kraju wynosić.

— He! myślisz? spytał Dołęga...

— Policja niedoleżna—daje się tu zbierać przybłędom... Knują pod jej oczami... spisek na obalenie porządku społecznego... ślepa jest czy chce być ślepą, kat ich wie... Sylwanowi nie powinni byli dać tu trzech dni pozostać.

Machnął ręką.

— I myśmy winni—dodał cicho—te delikatności, te skrupuły sumienia! Co to z takimi ichmość skrupulizować... wprost wskazać ich:—bierzcie i transportujcie na granicę... Konspiratorów dosyć mamy naszych własnych...

Paprzyca był czerwony z gniewu, drżał cały, rzucił się... Dołęga zapalał cygaro...

— Wczoraj jeszcze nikt się nie domyslał... Wypadek z Lubiczem, sądziliśmy, c'est un fait isolé—ale gdzież tam!... knuto... spiskowano... myśmy byli ślepi... I ty, kochany panie Maryanie... takżeś się nie spisał.

— Ja? czemu? jakto? spytał Dołęga.

— Byłeś z nimi jak najlepší... nie albos niewiedzial, lub—przemleczales...

Pogroził mu na nosie.

— Proszę cię, Paprzysiu mój, odezwał się Maryan—co mnie do tego! Wy bystrzejsi jeste-

ście odemnie, a nie widzieliście nic, jak ja miałem co zobaczyć!

— Myśmy wszyscy winni...

Lubicz idący ulicą zbliżył się. Po katastrofie, która go spotkała był już wywczasowany, lecz smutny jeszcze i pełen goryczy. Z pewną dumą patrzył na ten świat wśród którego doświadczal tyłu niesprawiedliwości.

Postąpił ku rozmawiającym z miną pedagoga.

— Mówicie o wypadkach—zagadnął—ale inaczej być nie mogło. My... z naszym sentymentalizmem przegramy zawsze, dla nich wszelkie środki dobre... Czułem w wypadku który mnie spotkał rękę tych ludzi... zaczęli odemnie... a potem na całej linii wygrali, zniósłszy placówkę.. O! Hermanek! to chłopaczek! Ja wam ręczę że on wszystko prowadził! Nie mamy organizacji jak należy, zaniedbujemy się—rozpręga się karność... idziemy na dno! to oczywista...

Dołęga się rozsmiał.

— Farceur! zawołał—dla tego że cię ocalono od stariej baby, że jedna młoda panna idzie za ubogiego chłopaka, że stary wdowiec żeni się z podszarzaną wdówką, świat ma się obalić! Allons donc.

— To są przeciwieście znaki—przerwał Lubicz... nie umieliśmy nawet w tak małych rzeczach zwyciężyć—coż dopiero w innych! Połowa tych co z nami są, na dwóch stołkach siedzi, gorliwości żadnej, odrętwiałość...

— Prawcież wy sobie treny—przerwał Dołęga,—ja muszę iść za interesami...

Powlókl się pomału, śmiejąc tak, że w wąsach nie widać było uśmiechu.

Nie jeden Lubicz i Paprzyca—lecz cały obóz lamentował dnia tego i następnych. Próbowano wysłać świeckie i duchowne osoby do starościnej, ale zacna staruszka choć wylękniona brała stronę Hanny, bronila trochę swojego zięcia nawet, utrzymując że to obłąkanych właśnie nawróci... że Sylwana żona uczyni najgorliwszym konserwatystą... i że, Pan Bóg da, wszystko się to jak najpomyślniej ułoży... O zerwaniu z pomocą starościny ani myśleć nie było można. Uznano ją za zbyt słabą...

Herman po dokonaniu tych wielkich czynów, znikł jakoś z horyzontu... Dokąd wyjechał, niewiedziiano; pewność była jednak, że wyjazd go zszedł się dziwnie z zamknięciem teatru i przeniesieniem go do jednego z prowincjonalnych miasteczek. Sylwanowi oznajmił, że dla interesów matki musi się udać w Krakowskie...

Dwa śluby, Sylwana z Hanną i Olesia z wdową, odbyły się bardzo cicho i prywatnie... Obie pary wyruszyły podług terażniejszego obyczaju na boży świat... aby swe szczęście ukryć przed szpiegującymi ludźmi oczyma... Starościna udała się na wieś, hrabina zupełnie zamknęła dom, do którego teraz nikt prawie oprócz duchownych nie uczęszczał.

Hermana przez cztery miesiące nie było, pisywał co tydzień do matki, prawie równie często odbierał o niej wiadomości przez pannę Złocińską... naostatek zjawil się napowrót... Wielka była radość w domu... hrabina nie chciała go na chwilę puścić od siebie, lecz ku wieczorowi zaszło coś takiego że Złocińska musiała przybiedz z kroplami... z wodą... a syn na klęczkach w ręce całując uspakajał. Snadź o czémś się dowiedzieć musiała, ale nawet pannie Złocińskiej pozostało to tajemnicą... a pan Herman zamleczal... Kilkanaście dni upłynęło nim przyszła powoli do siebie i dawny spokój ducha odzyskała. Smutna była wszakże ciągle... Złocińska doskonale umiejaca z niej dobywać najskrytszych serca tajemnic, tym razem, mimo największych za-

chodów—o co szło, ani się dowiedzieć, ani domyślić nie mogła.

Głuche tylko zaczęły chodzić wieści po świecie, że hrabia Herman Ramułt się żeni.

Nie wiadano z kim, a dorozumiewano się, że nie tam osobliwego być nie może, kiedy tę rzecz kryją.

W istocie Herman się ekwipował, a co dziwniejsza, robił wyprawę dla żony. Można miarkować, jakie ztąd wnioski ciągniono. „Gdzieś takie to musi być ubogie, że koszuli nie ma na grzbiecie, bo słyszę szyją dla niej bieliznę.”

Ruszano ramionami... Lubicz poniekąd uważał to za palec boży nad rodziną, która go na łona swoje przyjąć nie chciała.

Jedni powiadali, że zaślubia córkę ekonoma, drudzy, że chłopkę, inni nawet szli tak daleko iż szepotali o żydówce z Rzeszowa. Zkąd ją wzięli? panu Bogu tylko wiadomo.

Gdy się kto Hermana gwałtownie spytał:

— A co żenisz się hrabio?

— Żenię się, odpowiadał.

— A z kim?

— To wam wszystko jedno—ja żenię się dla siebie.

Dołęgi nie było naówczas w mieście, nadjechał właśnie gdy o tém najwięcej mówiono, gubiąc się w domysłach... Później tedy do Hermana.

Z przedpokojem zwiastował się już śmiechem...

— Jak się masz! drogi Hermanku, jak się masz! Kopeć lat! Cóż mi się z tobą dzieje? całe miasto plecie że się żenisz, jedni mówią, że z księżniczką, drudzy że z żydówką...

— A tobie jak się zdaje?

— Hę? mnie się zdaje, że ty tego głupstwa tak prędko nie zrobisz, rzucając się w fotel zawołał Dołęga—po co ci to... żebyś potem gdy ci się żona postarzeje, sam zostawisz młodemu, bałamucić się musiał.

— No—wiesz co, że może ja to wolę, niż żebym spóźniwszy się z ożenieniem, stary, zmusił, młodą żonę, żeby się ona bałamuciała... rozśmiał się Herman...

— Ale... słowo! przyznaj się! żenisz się?

— Żenię.

— Z kim?

— Z bardzo ładną osobą...

— Bogato?

— Ma — o ile wiem, sześć grubych koszul i cztery kaftaniki... trzewików nie liczyłem, sądzę jednak, że kapitał ten dwóch par nie przechodzi...

— Ale z kimże u dyabła?

— Miejcie trochę cierpliwości—zobaczcie...

Dołęga zaczął się śmiać...

— Otoż widzisz, kochanie Hermanku, ja cię nie zdradzę, ale ja wiem z kim się żenisz...

— Naprzykład...?

Dołęga obie ręce przyłożył do ust, nachylił mu się do ucha i szepnął słowo, któremu ogromny wybuch śmiechu towarzyszył.

— A co? nie prawda?

— Tak jest...

Herman spuścił głowę zafrasowany...

— Niedługo to będzie tajemnicą, rzekł; jadem po nią i przywozę ją tutaj.

Dołęga dał uroczyste słowo, że tajemnicy nie wyjawia... Herman wyekwipowawszy się wyjechał, i w parę dopiero tygodni jednego rana dowiedziano się, że z żoną przybył.

Dom hrabiny od tak dawna był zamknięty, iż gdy rozeszła zaproszenia na wieczor taneczny, zdumienie było powszechne... Wiedziano już, że państwo młodzi przyjechali, lecz do śmieszności zamknięci byli i nikt ich nie widział, a słudzy nie umieli nic powiedzieć o młodej swęj pani, prócz tego że była bardzo piękna...

Można sobie wystawić, jak biegał lud boży gnany ciekawością, plotąc niestworzone androny o młodej hrabinie... Najbardziej upowszechnione było mniemanie, iż to była żydówka z Rzeszowa...

Stara hrabina występowała tego dnia ze wspaniałością monarchiczną... Dom poczawszy od ulicy uilluminowano, wschody ubrano w kwiaty zwierciadła i dywany, salony jaśniały rześcistwami światłem... Służba ugalonowana, szeregiem ustawiona, kamerdynerów kilku, mistrz ceremonii, szwajcar... było wszystko czego tylko tradycya wielkiego domu lub próżność dorobkowieza wyznaczać może...

Salony napełniły się gośćmi, których hrabina przyjmowała sama, cała w brylantach, koronkach, ze swym krzyżem gwiazdzistym i piękną koroną hrabiowską na głowie... Wyglądała majestatycznie...

Było już około dziewiętej, gdy naostatek drzwi bocznych pokojów otworzyły się i wszedł Herman prowadząc pod rękę... Violę, w białej muslinowej sukience... z niebieskimi wstążkami, ubraną z gorszącą prostotą i zaniedbaniem.

Zdziwienie, osłupienie, popłoch stał się nadzwyczajny... Mimo to zdrowa doktryna: *Le pavillon couvre la marchandise*, żona idzie za mężem,—przemogła... Córka ubogiego aktora uznana została za hrabinę Ramułtową... Osobliwsza rzecz!...

Co się najwięcej przyczyniło do przyjęcia jej w towarzystwie—to, że się wyuczyła ślicznie po francuzku i szczebiotowała w tym języku z taką łatwością, jakby jej był poufałym od dzieciństwa. Panie znajdowały ją zachycającą, cóż mówić o mężczyznach!! Przynosiła z sobą szczerść i prostotę, naiwność jakąś dziecięcą, którą daje wychowanie wśród ludu i piastunka nędza... Nic w niej nie przypominało artystki, lecz wiele ubogie dziecko ludu... któremu szczęśliwa gwiazda świeciła jasnym promieniem nad kolebką... i blasku swego trochę zostawiła na bladym czole.

Jedna tylko prezesówna Iza, która miała jakieś nadzieje, że Hermana serce pozyskać potrafi, utrzymywała, że Viola miała *des manieres bien communes*. Dołęga zaś znający świat, szeptał w wielkiej tajemnicy wszystkim, iż to było dziecko krwi książęcej... Inaczej jakżeby mogła tak swobodnie obracać się w tym świecie do którego jej pan Bóg nie stworzył?

K O N I E C.

## Wzmianka Bibliograficzna.

W sierpniu 1872 roku wyszła w Krakowie niewielka ze 100 stronie złożona książeczka, pełna treści, stanowiąca owoc długoletnich samodzielnich a skrzętnych dochodzeń: jest nią opis pomników architektonicznych Krakowa. Zdaje się, iż autor prof. Władysław Łuszczkie-

wicz ma zamiar wydać cały szereg takich broszur, tę bowiem zatytułował ogólnie: *Zabytki Sztuk pięknych Krakowa*, oznaczył cyfrą I i nazwał z osobna: *Pomniki architektury od XI do XVIII wieku ze stanowiska historyi sztuki*.

Przy zbliżającej się chwili ogólnego ruchu podróży w kierunku Wiednia, książeczka może być bardzo przydatna każdemu, kto z pożytkiem pragnął zwiedzić budowlę grodu Krakusa. Oprócz tej natychmiastowej potocznej użyteczności, znajdujemy tu inną jeszcze trwalszą pomnikową: rzecz jest obrobiona ze stanowiska nauki i historyi sztuki, a wzbogacona postrzeżeniami nowymi, nadającymi słowom p. Łuszczkiewicza znaczenie odkryć pełnych interesu. Wyliczmy je tu tylko, wzmianka bowiem niepozwała wdawać się w rozbiór obszerniejszy. Na str. 23 p. Ł. twierdzi, iż kościoły krakowskie ostrołukowe mają cechę swą charakterystyczną w długości presbiterium; na str. 30 zwraca uwagę na czysto krakowski system skarp wewnętrznych zastępujących miejsce przereczanych zewnętrznych; dostrzega pewnej odrębności w sposobie zasklepiania okien kościelnych ostrołukiem (str. 36—). W budownictwie cywilnym kilka także nowych napotykamy postrzeżeń, np. ząbienia facyat domów p. Ł. nazywa cechą krakowskiego budownictwa, nie zaś jak inni chcą krzyżackiego (str. 46); zaznacza także dalszy rozwój tego facyatowego budowania pod wpływem odrodzenia (str. 64), a nie zapomina o zasługach najnowszych nawet pracowników na polu architektury w Krakowie. Rzecz jest godna pilnego rozpatrzenia. W. G.

## ROZMAITOŚCI.

— Mikado japoński miewa osobliwe pomysły: posyła swoich poddanych na naukę do Europy i Ameryki, zabiera się do reformy sądownictwa na wzór europejski i w tym celu wysyła swoich sędziów do Europy dla przypatrzenia się naszym procesom, urządza wystawy przemysłowe, ogłasza wolność wyznań, a nawet zabiera się do reformy teatrów. Według wydanego niedawno rozporządzenia w Japonii: „teatr powinien być szkołą obyczajności,” i dla tego wszelkie sztuki niemoralne surowo zostały zakazane. Jaka szkoda, że Mikado nie miał sposobności przypatrzeć się „Pięknej Helenie,” „Księżnie Jerzowej” i innym równie budującym ofenbachiom i dumadydom! pewnoby ta surowość stopniała i... pojechałby do Krety.

— W małym księstwie serbskim, mającym 791 mil kw. rozległości i 1,216,186 mieszkańców, stan wychowania publicznego należy do bardzo pomyślnych. Z ogólnej liczby wydatków 35 mil. piastrow przeznacza się tam na wychowanie publiczne około 3 1/2 mil., czyli 1/10 całkowitego budżetu, co się nie praktykuje w żadnym państwie europejskim, gdyż np. we Włozzech z ogólnego budżetu 1,558 mil. wydaje się na wychowanie zaledwo 17 mil., czyli mniej niż 1/90 wszystkich wydatków. Do tego dodać należy, iż owe 3 1/2 mil. piastrow nie stanowią jeszcze całkowitego wydatku na instrukcję publiczną w Serbii, szkoły bowiem elementarne budują się i w znacznej części utrzymują kosztem funduszów gminnych, a każda gmina mieć taką szkołę obowiązana. Od roku 1868 do 1870 wybudowano 67 szkół nowych, na co odnośne gminy wydały 87,833 piastrow; koszt wzniesienia takiej budowy wynosił najmniej 900, najwyżej zaś 9,000 piastrow. Państwo opłaca nauczycieli, inne wydatki spadają w Serbii na gminy.

— Treść: Wincenty Pol. — Falstaff. — Ramułtowie, powieść współczesna J. I. Kraszewskiego (dokończenie). — Wzmianka bibliograficzna. — Rozmaitości. — Ryciny: Wincenty Pol. — Falstaff. — Charakterystyka miejsc teatralnych. —

Wydawca, HIPOLIT ORGELBRAND.

Дозволено Цензурою, Варшава 18 (30) Декабря 1872 г.

Redaktor, MIECZYSLAW ORGELBRAND M. Pr. i Ad.